

DZIENNIK WILEŃSKI

Dodatek kulturalno-literacki

Wydawca:
Aleksander Zwierzyński

Czy Bartosz Głowacki poszedł w rekruty?

Mniej więcej rok temu wydał p. Wojciech Skuza w Krakowie „poemat chłopski o r. 1794”, zatytułowany „Wojciech Bartosz Głowacki”.

Poemat zaopatrzył przedmową jeden z przedstawicieli „młodej literatury robotniczo-chłopskiej”, Leon Kruczkowski, autor powieści „Kordjan i Cham”. Przedmowa, mająca wyraźny i niewątpliwy charakter wiecowo-agitacyjny, dostrojona jest zresztą doskonale do treści i tendencji społecznej całego „poematu”.

Poklepywany przez oficjalnych dziejopisów, opiewany w poczytnych rytmach przez poetów-katyrniarzy, poruszający symboliczną kosa na pomnikach w co drugim mieście powiatowym byłej Galicji, Wojciech Bartosz Głowacki ozdoba kalendarzy „ludowych”, kafełków szkolnych, oraz tanich „chłopskich” bibulek do papierosów — jest w historii polskiej postacią jedną z najżałośniejszych. Urzędowa jego „legenda” i ranga „bohatera narodowego” stanowi jaskrawy przykład zaklamywania tej historii dla „ideologicznych” potrzeb i celów klas panujących. Gruchotanie słodkiej rekwizytorni tego rodzaju fałszerstw jest wcale nie blachem zadaniem młodej literatury robotniczo-chłopskiej.

O jakież to „gruchotanie rekwizytorni fałszerstw” idzie p. Kruczkowskiemu? Oto pragnie on „ukazać wstydlive kulisy legendy, obnażyć żalosny szkielec „bohatera narodowego”, groteskowo — ponury jego cień rzucić na współczesną rzeczywistość polską”.

W tej myśli powołuje się na jedynie — jego zdaniem — autentyczne źródło, na dzieło Ludwika Nabelaka o T. Kościuszcze wydane w Paryżu, w r. 1870, a oparte na wydanych również na emigracji „Przeglądzie dziejów polskich”.

Nabelak w dziele swym cytuje kopię listu starosty Ant. Szujskiego, właściciela Rzędowic, z daty Kraków 14 kwietnia 1794, do jego rządcy Strawińskiego. Wspomina tedy Szujski w tym liście iż

„przeszły Wojtek Bartosz, a terazniejszy Wojciech Głowacki, chorąży Grenadierów Krakowskich, dystyngował się na dniu 4 kwietnia, skoczywszy pierwszy na baterję nieprzyjacielską, dając dowody odwagi swego dla miłości Ojczyzny.”

Tę jego odwagę daje mi okazję najśrodszą w moim życiu, że go uwalniano od wszelkiej powinności, równie i żonę i dzieci jego, a to zagrode, z której robił, wiecznemi czasy dla jego żony i dzieci daruję, żadnych robocizn nie pretendując, przytem żonę wydać żonie jego oddany wywiernie”.

Cytat ten zaopatrzył jednak Nabelak następującym przypiskiem:

„Kiedy po upadku rewolucji waleczni obrońcy kraju zmienić znowu musieli dzielne kosa na narzędzia pańszczyzny, wrócił i Głowacki do swej zagrody. Ale ponieważ nie było już powstania, pan (Szujski) odebrał mu nadaną własność i zmusił go do odrabiania pańszczyzny. — Głowacki nie mógł znieść spokojnie tak oburzającego postępu, to też sprawiło, iż oddany został Austriakom w rekruty”.

Otóż ten właśnie dopisek Nabelaka obrał sobie za punkt wyjścia zarówno p. Kruczkowski w swej powieści „Kor-

djan i Cham”, jak i W. Skuza w swoim poemacie chłopskim. A więc opowiada Skuza, jak to

„wyszedł Szujski na wieś
skłoniły się chłopcy...
za kołnierza wziął kniaź Bartosa
kopnął w zadek butem
— ekonom go ścigał batem —
„hultaj!... w rekruty!”

Zatem jeszcze jedna próba „odbronzowania” historii, „gruchotania rekwizytorni fałszerstw”. Kruczkowski zaznacza w przedmowie:

„Oczywiście, wersja oficjalna milczy o takim obrocie sprawy „dystyngowanego” Chorążego Grenadierów Krakowskich. — Głosi ona, że Głowacki zginął chwalebną śmiercią bohatera w bitwie pod Szczekocinami. Trudność czy nawet niemożność udokumentowania tej śmierci niewiele, zdaje się, przejmowała dziejopisów. Nie potrzebujemy jednak grzebać po archiwach, aby zgodzić się raczej na wersję, podaną przez Nabelaka, gdyż, nawet pozostawiając na boku kwestję jej autentyczności anegdotalnej... i t. d.”

W tem sęk właśnie: p. Kruczkowski, a za nim i W. Skuza upraszczają sobie sprawę. — Kwestję autentyczności pozostawiają prosto na boku. „Bo tak im dogodniej.”

Jakże ta sprawa odłania Głowackiego „w rekruty” przedstawia się w świetle wiarygodnych autentycznych dokumentów?

Kwestję tę omawia i wyświeśla obecnie p. Zygmunt Lasocki w wydanej

świeżo broszurze: „O chłopskim bohaterze z pod Racławic” (Kraków, nakładem autora).

Stwierdza on w sposób kategoryczny, że Głowacki zginął śmiercią bohaterską w dniu 6 czerwca 1794 r. na placu boju pod Szczekocinami. — o czym wspomina już Korzon w dziele swem „Kościuszkę”, wydanem w Krakowie, w roku 1894 (str. 349). Na poparcie zaś swego twierdzenia cytuje dosłownie wypis aktu małżeństwa z dnia 21 listopada 1810 między Szymonem Blahutem a Justyną Głowacką, córką naszego bohatera, która przedłożyła akt zejścia jej ojca „Wojciecha Bartosza Głowackiego, w roku 1794 na placu boju pod miasteczkiem Szczekocinami poległego Oficiera”...

Pozostałaby jeszcze do omówienia kwestja, skąd Nabelak czerpał swe informacje o oddaniu Głowackiego w rekruty? Jak już wspominaliśmy, a co zresztą i sam p. Kruczkowski przyznaje — cytował Nabelak tę informację za wydany również na emigracji „Przeglądem dziejów polskich” (wyd. w Poitiers w roku 1838).

Otóż autentyczność tej informacji staje w świetle mocno podejrzaną, skoro uprzytomnimy sobie, że autorem jej był niejaki Wiktor Heltman, człowiek nie posiadający najmniejszego au-

torytetu jako historyk, kompletny nieuk i niezdarny kompilator. P. Lasocki w broszurze swojej zajmuje się obszernie, wcale nieciekawą postacią autora „Przeglądu dziejów polskich”, — który i w życiu publicznym odegrał smutną a zgoła niezaszczytną rolę — noszący polity denuncjant i oszczerca, który po wybuchu powstania listopadowego walczył w armii rosyjskiej Dybiczę przeciw własnym swym braciom. Dopiero dostawszy się do niewoli, wstąpił do wojska polskiego, obawiając się może zemsty ze strony polskiej, — a po upadku powstania wyemigrował do Paryża. Na emigracji, korzystając z tego, że nie znano jego zeznań złożonych wobec władz rosyjskich, wysuwał się na czoło, ślejąc niezgodę wśród wygnańców, szkalując prawych synów ojczyzny, nie wyłączając nawet ofiar swoich donosów”.

W tym właściwym świetle upada — oparta na zupełnie fałszywych przesłankach — legenda o nieczym postępie Szujskiego, który jakoby miał oddać w rekruty bohatera z pod Racławic, — a Głowacki staje się nie „groteskowo-ponurą” postacią, lecz pozostaje nadal pięknym symbolem chłopstwa polskiego, niosącego ofiarnie krew i życie w obronie wolności i niezawisłości ojczyzny.

(kr.)

Společne zadania literatury

Literatura piękna wstępuje na nowe drogi. Przekwitły kwiaty estetyzmu i wybujałej wolności osobistej pisarzy. Świadomość ogólna przenikało przeświadczenie, że twórczość artystyczna musi być kompromisem między natchnieniem i fantazją, a służbą społeczną. Nicby tu nie pomogły nawoływania najdoiniejszych publicystów. Stało się, że sami artyści zgłaszali się zaczęli na służbę zbiorowości.

Stanisław Szczepanowski pisał dawniej, że „jedynym probierzem poezji są czyny, do których pobudza”. Popławskiego jako krytyka literackiego stała tylko twórczość zajmowała, która zawierała jakąś tezę społeczną. Wzmagające się dziś głosy o literaturze społecznej nie są zatem hasłem nowym.

Chmielowski już pisał o obywatelskości pisarzy, a za nim A. Drogoszewski powtórzył w „Pozytywnie polskim”: „Nie należy zapominać, że artysta, jak każdy inny człowiek, jest obywatelem, że zatem powinien mieć pewne przekonania społeczne i podług tych przekonań postępować. Wiemy, że dotychczas artyści niewielki brał udział w życiu społecznym i politycznym, a jeżeli brał, to niezbyt świetnie dali się poznać: ale, taki stan wiecznie trwać nie może; poczucie obywatelstwa musi być przez wszystkich zarówno rozumnie pojmowane, powinno regulować ich postępowanie. Zdaje nam się, że wyjaśnienie pojęć ekonomicznych i społecznych w umy-

slach artystów, szkody im nie przyniesie.

Rzecz jasna, że chodzi tu nie tylko o uczestnictwo artystów w sprawach społecznych, ale raczej o uczestnictwo w sprawach i poglądów społecznych w dziełach artystycznych. Do współczesnych krytyków, radzących literaturze iść na pełną służbę życia i społeczeństwa, należy także St. Piasecki (Prosto z mostu). Ale w mniemaniu powszechnym, aż po dziś dzień panuje przesąd, że literatura winna stać poza celami dążeń społecznych, że winna mieć tylko jedno bóstwo — Piękno. Wszakże tym sposobem literatura musiałaby pozostać na uboczu gorączki życia, zejść na jego plan trzeci. Wierze przyszła sama na rolę w życiu zbiorowym.

Wyrazem tej jej suł generis Canossy jest ostatnio przez „Drogę” wydany „Szkic nowożytności — krytyczny” Romana Kolonieckiego pt. „Společne zadania literatury”. U nas doszło do postulowanej powyższą rozprawa literatury, głównie dzięki faktowi, który wyraża — wstąpię do szkicu Kolonieckiego — Adam Skwarczyński: położenie współczesnej literatury polskiej jest w tem osobliwe, że poraz pierwszy ma ona zapewnioną łączność z życiem całego społeczeństwa”. Dlatego dziś musi mieć literatura polska zadania wychowawcze. „Ten jest najcięższym czytelnikiem. Kto w utworze znalazł doskonały wyraz swych podświadomych potrzeb duchowych i najlepszych tęsknot”. „Jest rzeczą ważną,

aby literaci uświadamiali sobie równie mocno obie strony sprawy: i postulat wielkiej syntezy, mitu wychowawczego i postulat łączności z życiem społeczeństwa”.

Drogę społeczną i to pewną literaturą ma: narodową. Ale grupy, które walczy z polskim nacjonalizmem, chcą by mu zabrać i tę oczywistość: walkę o czystą narodową kulturę, którą istotnie Obóz Narodowy, choć w niewielu ludzi, tworzy. Pozostaje więc fikcja „literatury państwowej”. Na jej służbę zaciągnął się m. in. Roman Koloniecki.

Jego rozprawa, doskonała w charakterystyce współczesności i w stwierdzeniu potrzeby literatury społecznej w Polsce, traci wartość przy wysuwaniu postulatów, które się zdają mało uchwytne, niczem nie warunkowane i niebardzo słuszne. Zupełnie oczywiście i sprawiedliwie są stwierdzenia Kolonieckiego: „ażeby dzieło pisarza budziło w rzeszach czytelników pożądany oddźwięk emocjonalny, musi ono zawierać takie elementy, które nie są chęć ich uczuciowości i kategorii myślenia”.

I to, że sztuka „stanowi wieczny czynnik ciągłości biologicznego rozwoju dziejów” i to, że „fenomenologia sztuki — według Norwida — rządzi nie prawodawstwo kapryśnej swobody artystycznej, lecz nieomylny instynkt moralny”.

Słuszniemi są stwierdzenia Kolonieckiego, że trzeba literatury społecz-

nej z tego naczelną: „literatura jest funkcją społeczną, która polega na wywieraniu przez nią wpływu wychowawczego”. Niestety autor, zawikłany w sieć błędnego mity statolatrii nie umie znaleźć dróg wyjścia dla literatury nowej. Stąd góra rodzi zaledwie myśl.

Bo jedynym zwrotem w literaturze ma być, wedle recepty Koloniec-kiego, zagubienie egocentryzmu i zaniechanie metody reportażowo-pub-licystycznej. Koloniec-ki nie widzi najbliższej i najważniejszej więzi spo-łecznej, stąd też myśl jego o „społecz-nych zadaniach literatury” jest kaleka. Kiedyś w podobne uwikłanie wpadł hr. Tolstoj, który negując naród, a wi-żąc zło literatury narkotyzującej tru-iznami egzotyki i egotyki ludz-kości, kazał literaturze szukać dróg z bałamutnie przezeń pojętej religijności (w dziele „Co to jest sztuka?”).

Zwalcza Koloniec-ki „klerki” — fu-żi — myśliciel, wadliwi, uciekają-cych od życia, a narzucających mu

swe hasła. Przewodnicy duchowi win-ni stać w pierwszych szeregach w walce o nowe życie. Na szczytach zaś rozwoju indywidualnego talentu i ge-niuszu powstają wielkie syntezy — mity. Współcześnie panują trzy wiel-kie mity: proletariatu, pacyfistyczny i państwowy. Mity pacyfistyczny nie mógł u nas powstać, gdyż my wojnie zawdzięczamy państwo. W jego miej-sce winniśmy pielęgnować „wielki, ży-wotny mit państwa”, uzupełniony jed-nak ogólnym, norwidowskim mitem kultury. Mit państwa nie jest copraw-da nowym: znała go dobrze staro-polszczyzna; chyba wystarczy wymie-nić Kochanowskiego i Skargę.

Koloniec-ki mówi tylko o micie „na-rodu — państwa”. Dlatego musi doń dodać „kulturę”, wszechludzkość, bo państwo to zamało. Ale i tu cały błąd — taka literatura państwowo — wszechludzka musi być albo panegiryczna, albo kosmopolityczna, tertium non datur. Tak dziś piszą Kaden-Ban-drowski, Stoniński, Tuwim, ale to jest

bezduszne, bo społeczne zadanie lite-ratury jest jedno: narodowe. O tem niestety mówi się tylko u Koloniec-kiego mimochodem, jako o obecnym micie destrukcyjnym i groźnym: „krań-cowym nacjonalizmem”.

Na jedną jeszcze drugorzędną spra-wę niema z Koloniec-kiem zgody. Prze-prowadza on zbyt ściśle rozgranicze-nie reportaży, publicystyki i poezji (mitotwórstwa), — z których dwie pierwsze galezie stawia niżej. Ale trze-ba pamiętać, że w poezji decyduje nie forma, lecz treść (z Koloniec-kiem zgo-da), że zatem publicystyka może roz-wijając mity narodu, mieć również piękno — przez to wychować stokroć lepiej i więcej niż jakikolwiek inny ro-dzaj literatury. A więc dzieła Szcze-panowskiego, Dmowskiego lub Balic-kiego, albo dawnych polskich publicy-stów (XVI i XVIII w.) mają większą od wielu innych dzieł wartość literac-ka.

JAN BIELATOWICZ

Dwie powieści amerykańskie

Gdy ktoś zaczyna mówić o beletry-ście amerykańskiej (ściśle mówiąc: anglo- amerykańskiej, północno- a-merk., — beletryście w U. S. A.), mimowoli nasuwa się na myśl odrazu: z ubiegłego stulecia — sylwetka Edga-ra Allana Poe'go, z czasów przedwo-jennych — tak bardzo popularny i tak bardzo ujmujący — mimo popularno-ści w masach szerokich, niewątpliwie wielki artysta — Jack London; z cza-sów zaś ostatnich wiemy coś niecoś o Teodorze Dreiserze, Dos Passosie, a przede wszystkim o dwóch Sinclair-ach, z których jeden — Lewis głośny się stał dzięki nagrodzie Nobla, a dru-gi — Upton znany jest ze swej dzia-łalności literacko- społecznej raczej, propagandowej, niż artystycznej.

I to naprawdę już wszystko — coś więcej wiedzą już tylko specjaliści lub wyjątkowi amatorzy literatury amery-kańskiej.

Na podstawie zaś wyżej naszkico-wanego obrazu wytworza się też pe-wne ustalone, mające już dziś charak-ter szablonu ujęcie literatury amery-kańskiej: na czoło wybija się ten, któ-ry nie jest typem ani symbolem swej literatury, ale wyjątkiem: tajemniczy, oryginalny, często niezrozumiały, Ed-gar Poe. Jedynie z nim mają trudności wielbiciele systemu szufladkowania — reszta da się spokojnie zdefiniować, jako literatura, nawskroś przesiąknięta elementem bądź „imperialistyczno-ra-sowym” (Jack London), owianym du-chem sensacji i egzotyki, — bądź spo-łecznym, dominującym w beletryście amerykańskiej ostatniej doby.

Ten moment społeczny spycha na plan dalszy ambicje artystyczne twór-ców i potrzeby estetyczne konsument-ów literatury powieściowej, nie wy-kłucza on jednak całego szeregu suk-cesów natury czysto artystycznej... sukcesów, odnoszonych przez Dreisera czy Dos Passosa i zdobywających im rozgłos w Europie, — za oceanem jed-nak zawsze odsuniętych w cień przez potężne znaczenie i oddziaływanie spo-łeczno- wychowawcze, społeczno-o-skarżycielskie twórców i ich dzieł.

Aż oto niedawno ukazały się w przekładzie polskim dwie powieści a-merykańskie, w mgnieniu oka burzące cały, z łatwością a systematycznie u-łożony szufladkowy system, dotyczący kwestii, czem jest literatura w U.S.A.

Obydwie wyszły spod pióra jedne-go autora (czy autorki?) Louis Brom-field, przyczem w tym samym stopniu różnią się od reszty. Spopularyzowa-nej powszechnie amerykańskiej lite-ratury powieściowej, — w jakim niepo-dobne są jedna do drugiej. Istotnie, je-dynie okładka, opiewająca, kto książ-kę napisał, — i pewne chwytliwy kompo-zycyjne zmuszają do przyjęcia na wio-snę, że „Dwadzieścia cztery godziny” i „Dziwna historia Anny Spragg” — to twory talentu, umysłu i smaku este-tycznego jednego człowieka.

Tematem pierwszej powieści „Dwa-dzieścia cztery godziny”, jest to, co

zazwyczaj spotykamy w beletryście amerykańskiej: milionerzy, ludzie no-wi i królujący w salonach na 5-tej A-venue od kilku pokoleń arystokracja pieniądza, chętnie przyznająca się i do arystokratyzmu krwi; niesnaski mał-żeńskie, swoboda obyczajów i kult po-zoru; nie zepsuci, wysportowani mło-dzieńcy i „nurzące się w bagnie ży-cia” — dziewczęta z ludu — gwiazdy sceny, a raczej z estrady.

Nie braknie i motywu kryminalno-sensacyjnego: rywalizujące ze sobą bandy gangsterów, mordy przeciwni-ków, opętana miłość krwiożerczego herszta, policja, donosiciele agencji itd. Wszystko to — takie banalne — aż za-dobrze znamy z filmu amerykańskiego raczej, niż z powieści.

A jednak w książce Louis Bromfield odpada cała banalność, cała kinowość (najlepszy dowód, że film, na podsta-wie tej powieści nakręcany, okazał się dziełem poronionem: modny, pseudo-clair'owski i pseudo- sensacyjny za-razem — z Miriam Hopkins i Clive Brock w głównych rolach) — pozos-taje prawdziwe arcydzieło sztuki po-wieściopisańskiej i to sztuki czystej, wyzbytej wszelkich elementów społecz-nych, tendencyjnych.

Wszystko lub prawie wszystko, o czem ta powieść opowiada, wiemy z książek Sinclair'ów, czy Dreiser'a — a przecież u Bromfield jest to zupeł-nie inne — jest szeroki oddech epiki, wielobarwność i wieloplanowość, po-rywająca narracja i zaiste świeży, zu-pelnie jakiś nowy — czas tak zbanali-zowanego bezpośrednio przed wojną i dziś pogardzanego — opisu. Brom-field nie moralizuje, nie poucza, nie o-skarża, — ale z beznamiętnym, bez-stronnym spokojem i z ogromną pla-szyką daje wspaniały przekrój spo-łeczeństwa amerykańskiego.

Epickość jednak „24 godzin”, trady-cyjna z ducha i z zasadniczych ele-mentów (porywająca narracja, kunszt plastyczny, bogactwo kontrastów psy-chologicznych w fakturze zewnętrznej, w technice — niema nic wspólnego z tradycyjną powieścią epicką — prze-ciwnie, konstrukcję posiada nawskroś nowoczesną, nie uznającą supremacji elementu chronologicznego w przed-stawianiu zdarzeń — zbliżoną więc do Conrada, Pilniaka czy Chomarań-skiego.

Biorąc do rąk po przeczytaniu „24 godzin” — następną powieść Brom-field'a — „Dziwna historia Anny

Spragg”, mimowoli spodziewamy się dalszego rozwinięcia, wzbogacenia, po-głębienia tych elementów epickich, które cechują powieść pierwszą. I od-razu ogarnia nas rozczarowanie, po-łączone z dezorientacją i zdumieniem. Czyta się tę drugą książkę tak samo z napięciem, jak pierwszą, — znajome wydają się nam metody szeregowania zdarzeń, znajomy i system budowy charakterów, ale gdy ukończymy o-statnią stronę, ze zdumieniem pytamy samych siebie: czyż możliwe, żeby to napisał autor „24 godzin”?... beznamiętny epik, spokojnie i con amore od-twarzający przekrój amerykańskiego życia społecznego, a ściślej mówiąc — przekrój sumy zdarzeń zewnętrznych, na to życie się składających?... A po-nadto wierzyć się nie chce, że „Dziw-na historia Anny Spragg” wyszła spod pióra pisarza amerykańskiego, — tak silne ma się wrażenie, że to typowy okaz literatury skandynawskiej — ta-kie to bliskie Selmy Lagerlöf, lub „Ka-mienia mądrości” Anker Larsena!

„Dziwna historia Anny Spragg” to dzieło stygmatyckie, siostry pastora, propagatora jednej z niezliczonych sekt protestanckich w Ameryce. Anna Spragg miała stać się wybranką Bożą, na której miał się dokonać rzad. Ten sam cud, co i na św. Franciszku z Asyżu. Cała książkę przepaja atmos-fera sekciarsko- mistyczna, a przecież i tu rasowy epik talent Louis Brom-field więcej się interesuje reakcją, ja-ką „cud” wywołał, niż samym faktem — con amore odzwierca różne posta-cie — przedstawiciele różnych sfer społecznych i ich stosunek do stygma-tyczki i całej jej „dziwnej historii”.

I ta powieść, jak pierwsza, roi się od niezwykle ciekawie naszkicowa-nych postaci i szeregu doskonałych sy-tuacji powieściowych. Natomiast po-nurność przynębiająca bije od sekciar-sko- mistycznej atmosfery domu wie-lebnego Urjasza Spragga i jego siostry uderza też wrogi stosunek autora do katolicyzmu w osobie oświeconych, czołowych przedstawicieli kleru.

W sumie powieść ta z jednej stro-ny jest zerwaniem z materialistyczną atmosferą dotąd dominującą w lite-raturze amerykańskiej, — z drugiej zaś jest doskonałym artystycznym odtwo-rzeniem tak charakterystycznego dla psychiki i kultury ptn. amerykańskiej rozwielnionego, rozdrobnionego, i częstokroć tak bardzo ponurego sek-ciarstwa. p. t.

Plakat i karykatura w Sowietach

Jest rzeczą charakterystyczną, że w okresie rewolucji, kiedy to z reguły „inter arma silent musae”, sztuka gra-ficzna w Sowietach zajęła odrazu bar-dzo ważną pozycję bojową. Plakat i karykatura stały się bronią bardzo skuteczną i popularną, zdolną wpły-wać na opinie i odpowiednio urabiać nastro-ję szerokich mas, najbardziej podat-nych na ten rodzaj propagandy, najłat-wiej dostępny i zrozumiały.

Plakaty te miały początkowo treść alegoryczną, na oklepny temat walki z kapitalizmem i burżuazją, powtarzany w niezliczonych wariantach.

Stopniowo jednak tematy się za-cieśniają, konkretyzują, — wytwarza się pewien odrębny „styl”. Zamiast walki z kapitalizmem — walka z Koł-czakiem, z paskarzami, z tyfusem pla-mistym, z głodem... Klasycznym przy-kładem w tym kierunku był plakat przedstawiający olbrzymią wesz, pod którą zamieszczony był drastyczny cy-tat Lenina: „albo wesz, albo socjalizm!”

Jednym z najwybitniejszych repre-zentantów tej sowieckiej sztuki graficz-nej jest Deni, który już z chwilą wy-buchu rewolucji posiadał sławę zdolne-go karykaturzysty. Traktuje on temat realistycznie, operując śmiało liniami kładąc główny nacisk na uwypuklenie charakterystycznych cech danej osoby. Jego karykatury znanych polityków europejskich cieszyły się w Sowietach ogromną popularnością.

Karykaturę polityczną par excellen-ce uprawia również i młodszy od niego

Borys Efimow, artysta bardzo uzdol-niony, stały współpracownik moskiew-skich pism codziennych. Karykatury je-go, niesłychanie zjadliwe, mówią same za siebie, nie wymagają komentarzy. A mówią nieraz więcej, niż cały długi artykuł wstępny.

Efimow znany jest i poza granicami Sowietów, a jedna z jego karykatur po-litycznych („Na scenie „tewskiej”) zna-lazła specjalną wzmiankę w nocie rzą-du angielskiego z r. 1927, poprzedzają-cej zerwanie stosunków dyplomatycz-nych między Anglią a Sowietami.

Z młodszych karykaturzystów za-sługują na wzmiankę: Melnikow, Moor, Kozlinskyj i Rotow. Zwłaszcza ten ostatni jest ogromnie lubiany dzięki swemu pogodnemu humorowi i lekkości rysunku.

Osobną niejako „szkołę” stanowi Leningrad. Tamtejsi malarze i graficy: Lebedjew, Radlow, Antonowskij w dziełach swych starają się chwycić na gorąco wszystkie przejawy, śmiesz-ności i niedole codziennego życia „szarych ludzi”, przy podkreślaniu charak-terystycznych szczegółów ubrania, otoczenia, życia ulicznego itp.

Toteż rysunki ich posiadają głębszą, nieprzemijającą wartość dla wyrobie-nia sobie właściwego pojęcia o życiu dzisiejszej sowieckiej Rosji.

Obok tej, niejako urzędowej sztuki graficznej istnieje w Sowietach, silnie rozwinięta, sztuka anonimowa, dochodząca do głosu wszędzie, w szkołach, fabrykach, kołchozach, kooperaty-wach... Domorośli „artyści”, rekrutują-

cy się z szarej masy robotniczej, oble-piają całe ściany plakatami i karykatu-rami, własnoręcznie sporządzonymi, by wytknąć błędy i niedbalstwo admi-nistracji, napiętować opieszałych lub opornych. Nie mają te rysunki zazwy-czaj nic wspólnego z prawdziwą sztuką — tem niemniej jednak spełniają nie-jednokrotnie, i to bardzo skutecznie swój cel i swe zadanie agitacyjne i wy-chowawcze.

Plakat, uważany od pierwszej chwi-li niemal za jeden z najskuteczniejszych instrumentów propagandy, przechodził w Sowietach pewną ewolucję.

Początkowo dość prymitywny, sym-plicystyczny w pomyśle i wykonaniu, słu-żył wyłącznie celom agitacji politycz-nej. Po ustabilizowaniu się stosunków a pod wpływem Zachodu, plakat przy-biera formy artystyczne, idąc jednak głównie w służbę reklamy prywatnej.

Dopiero od roku 1930 staje się pla-kat ponownie zdecydowanym narzę-dziem propagandy politycznej i gospo-darczej, zajmując we wszystkich dzie-łach życia społecznego ważną i nie-zastąpioną pozycję. Plakaty, drukowa-ne w setkach tysięcy egzemplarzy, do-cierają do najodleglejszych, zapadłych kątów, budząc zainteresowanie i uświa-damiając ludność szybko i skutecznie, niżby to zrobić mogły dzienniki czy przemówienia.

W ostatnich latach plakat operuje chętnie fotomontażem, dochodząc i na tem polu do doskonałych wyników i skutecznie konkurując ze sztuką innych krajów. (R.)

Cenzura trójdiktatorska

Dziennikarstwo polskie, zwłaszcza narodowe rozwijało się w Polsce wśród wielce nieprzyjajnych warunków, jak w żadnym kraju Europy. Historia dziennikarstwa w Polsce może też być dowodem niebywalej zdolności potencjalnej Polaków, nawet wytrwałości a zwłaszcza cierpliwości, co postaramy się w krótkim rysie przedstawić.

Wszystkie narody odczuwały potrzebę prasy. W starożytnym Rzymie ogłaszano w licznych odpisach: Acta diurna, które obok rozporządzeń władz podawały nowiny i wiadomości z życia narodu. W Chinach, gdzie właściwie wynaleziono druk, wychodziło od 507 roku pismo p. t. „King-Pao” czyli Goniec stolicy w formie broszury o 60 do 70 stronicach druku. Dziennik ten rozklejano na murach cesarskiego pałacu i ogłaszano w ten sposób dekrety władz dla stolicy i prowincji w osobnych odbitkach, a obok tego nominacje, dymisje, odpowiedzi na prośby przedkładane cesarzowi lub mandarynom, nowiny miejscowe i prowincjonalne, poezje, powiastki i t. p. Pismo to wychodziło długo bez przerwy aż do ostatnich czasów. Anglia począwszy od 1872 r. podawała w swej prasie często wiadomości czerpane z King-Pao a nawet tłumaczono prawie cały ten dziennik i drukowano w formie książki dla czytelników.

Prasa codzienna powstała już dawno w Europie, ciesząc się wielkim poparciem społeczeństwa i władz. W Polsce każde usiłowanie w tym kierunku natrafiało na trudności. Wprawdzie już w XVI w. drukowano w Polsce Konstytucje i uchwały sejmowe w niewielu egzemplarzach, jednak władza, nawet jeszcze przed 50 laty wołała ogłaszać je przez woznych albo bębniem przez pachołków gminnych.

Właściwemu dziennikarstwu w Polsce dała początek inicjatywa prywatna. Z początku były to wydawnictwa dorywcze, drukowane w dniach z góry nieoznaczonych, coś w rodzaju jednodzienników. Dziennikarstwo w Polsce nie doczekało się jeszcze historyka, któryby w wyczerpującej pracy przedstawił jego rozwój. Pierwszy Chłędowski pisze w 1816 r. w „Pamiętniku lwowskim” o polskich gazetach. Nazwa „gazeta” powstała w ten sposób, że, gdy w 1563 r. zaczęto w Wenecji ogłaszać wiadomości p. t. „Notizie scritte”, sprzedawano je po groszu weneckim, zwanym „gazetta”. Odtąd sprzedawane czasopisma otrzymują prawie wszędzie nazwę gazeta.

O gazetach polskich pisze również Szajnocha, Majeranowski, Baudtke, Estreicher i wielu innych.

Najstarsze czasopisma zaczęły wychodzić w Polsce w dobie panowania Zygmunta III i Władysława IV. Ówczesne burzliwe czasy dostarczały wiele tematu dla tych wydawnictw. W 1557 r. wychodzi w Polsce wiele gazet p. t.: Nowiny i to nie tylko w Krakowie lub Warszawie, lecz także w Lublinie, Wilnie, we Lwowie i innych miastach. Z tych czasów zachowały się do dzisiaj niektóre numery pod nazwą: Nowiny lubelskie, Nowiny z Infant, Nowiny z Rakuz, Nowiny z Francyej i Nowiny świeże z Niemiec.

Pierwszym jednak Dziennikiem polskim, pojawiającym się w pewnych z góry oznaczonych dniach był „Merkuryusz polski”, wydawany od dnia 30 stycznia 1661 r. w Krakowie w Kamienicy Szoberskiej na Wendecie cum privi-

legio Króla Jegomości. Nieznany redaktor pisze w pierwszym numerze, że porzywa się na przedsiębiorstwo w Polsce jeszcze nieznane. Czasopismo to podawało wiadomości polityczne i prywatne z kraju i zagranicy. Po dwu latach Merkuryusz przenosi się do Warszawy, gdzie wkrótce przestaje wychodzić. Około 1700 r. wychodzi krótki czas w Warszawie czasopismo „Gazeta”, następnie około 1729 r. „Nowiny polskie” i od 1761 r. najstarszy polski dziennik „Gazeta warszawska”, założony przez ks. Franciszka Bohomolca z początku pod nazwą „Wiadomości warszawskie”. Redaktor ks. Stefan Łuski wydał już ten dziennik od 1774 r. pod nazwą dzisiejszą.

W czasie sejmu czteroletniego Tadeusz Masłowski, Julian Niemcewicz i Józef Weissenhof zaczynają w 1791 r. wydawać „Gazetę narodową i obcą”, która jednak Targowica każe zwinąć, gdyż nie uznaje pojęcia narodu.

Równocześnie powstają na krótki czas różne pisma we wszystkich prawie większych miastach Polski, jak w Wilnie „Kurjer litewski” i „Gazeta narodowa wileńska”, we Lwowie „Wiadomości literackie” w 1760 r. i „Zbiór Tygodniowych wiadomości uczonych” w 1761 r., w Toruniu „Thornische Nachrichten”, w Grodnie „Gazeta Grodzińska”, w Nieświeżu „Gazeta miejscowa” i inne. Poznań nie posiada w tym czasie żadnego czasopisma.

Za panowania Sasów a także Stanisława Augusta redaktorzy polscy nie znajdowali poparcia u władz. Natomiast Jan, Bogumił Hebold i Dawid Gesing otrzymują w 1768 r. od Stanisława Augusta przywilej na wydawanie gazety pt. „Kantor kointeligencji” pod nadzorem Akademii krakowskiej. Pismo to upadło szybko, ale już w dobie rozbiorów Jacek Przybylski w spółce z drukarzem Janem Mayem wydają w 1796 r. „Gazetę Krakowską”.

Warunki rozwoju polskiej prasy były wówczas niebywale ciężkie. Koło czytelników było nadzwyczaj ograniczone, ogół nie odczuwał potrzeby pisma, zubożenie warstw światłych nie pozwalało na popieranie prasy, a co najważniejsze, nadzór rządów zaborczych nie dopuszczał żadnej swobodniejszej myśli i krytyki i utrudniał wszelkie usiłowanie wydawców, pragnących informować naród

o ówczesnych stosunkach politycznych i gospodarczych. Po rozbiorach wykonywały cenzurę z początku władze administracyjne, a od 1801 r. powierzono te funkcje policji. Każde dzieło lub rycina, każdy druk i rysunek poddawano bardzo ostrej cenzurze wszystko jedno czy pochodziło z kraju czy zagranicą. Wszystkie przesyłki krajowe i zagraniczne przeglądała policja, a cenzor zapisywał na każdej rzeczy swą opinię. W dziełach historycznych i literackich wymazywano skrętnie słowa Polak i naród, natomiast celowo szerzono fałsz i poprawki historyczne. Po powstaniu 1831 r. wzmożł się jeszcze terror i ucisk. Redaktorów i pisarzy polskich często aresztowano i gnębiono w wymyślny sposób.

Utworzenie Rzeczypospolitej krakowskiej niczego nie zmieniło. W 1815 r. przybywają we wrześniu do Krakowa trzej komisarze mocarstw opiekuńczych w celu wprowadzenia nowej administracji w Krakowie. Zaraz u wstępu dnia 12 października 1815 r. tworzą gwardję złożoną z 40 ludzi, którzy mieli w pierwszej linii pilnować: „ażby w Krakowie nie drukowano, ani w teatrze nie wystawiano niczego bez zezwolenia władzy”. Komisji organizacyjnej przysługowało po tygodniu komisarze dworów i przemian.

W 1818 r. uchwalono Konstytucję, która w art. 24 mówi: „Wolność druku jest nietykalną, począwszy od dnia, w którym zostanie ogłoszony Kodeks Kryminalny”. Warunku tego nie spełniono. Kodeksu Kryminalnego nie ogłoszono celowo.

Mimo tego praca nie ustaje. Obok Jana Maya zasiadają przy stole redakcyjnym Hilary Maciszewski i Konstanty Majeranowski. Zawieszoną Gazetę krakowską zastępuje Goniec. Niestety Konstanty Majeranowski obejmuje w 1832 r. urząd cenzora i zjednuje sobie na tem stanowisku powszechną niechęć, gdyż drakońską ustawę cenzuralną wykonuje o wiele ostrzej aniżeli nawet poprzedni cenzorzy.

Komisarze opiekuńczy państw zmusili Senat wolnej Rzeczypospolitej krakowskiej, by ogłosił specjalną ustawę o cenzurze, która postanawia: utworzenie komitetu cenzury, który ma przeprowadzać rewizję książek, wszelkich pism i sztuk teatralnych. Żadne pismo

krajowe czy zagraniczne nie mogło pojawić się w sprzedaży bez zezwolenia. Również piosenki, ryciny i rysunki musiały przechodzić rewizję. Nadzorowi poddano wszystkie biblioteki publiczne i prywatne i czytelnie, często przeprowadzano rewizję w stowarzyszeniach a nawet Divinum Officium i wogóle książki religijne rewidowano. Szczególnie skrzętnie poszukiwano Pana Tadeusza, „Historię powstania” Mochackiego, „Słowa wieszcz” księdza Lamennais i wogóle wydawnictwa narodowe w kraju i zagranicą, ogłaszając w dotyczących ukazach powód: „gdyż pisma te sprawiają nieukontentowanie opiekuńczych dworów”.

Prócz tego konfiskowano portrety generała Różyckiego i Skrzyneckiego, ryciny przedstawiające Krakusów pod Racławicami, a już najzjadlej poszukiwano portretów Romana Sanguskiego, którego zwano w Polsce: „męczennikiem wolności w kopalniach Sybiru”.

Zgnębiony naród zachował się wobec tego terroru biernie. Jedynie Antoni Helcel odważył się w 1837 r. protestować przeciwko drakońskiej ustawie cenzuralnej i jako właściciel drukarni, wydawca i redaktor wniósł w tej sprawie memoriał. Władze jednak zignorowały jego wywody i nawet nieudzieliły odpowiedzi.

W tym okresie bowiem poddawano cenzurze nawet nagrobki na cmentarzu. Na grobie Dr. Józefa Markowskiego kazano wymazać z napisu słowa: „wstawionemu w Ojczyźnie naszej i w państwie francuskim”. Na żądanie Rosji nakazano usunąć napis grobowy na sarkofagu pułkownika Błędowskiego w Czernej.

W archiwum aktów dawnych m. Krakowa znajduje się egzemplarz pisma pt. „Zbieracz historyczny i literacki” z 1837 r., w którym pozostały liczne poprawki historyczne cenzora. Słowa: Ojczyzna, Polak i naród są dokładnie wykreślone i zamazane a w ich miejsce wstawiono słowa: krajna, obywatel, Rzeczpospolita lub państwo.

Ucisk ten trwał w Krakowie mniej więcej do 1848 r. Nielepiej też działo się w innych zaborach, gdzie podobny ucisk sprawował jeden zaborca, gdy w Krakowie trzej dyktatorzy wspólnymi siłami. Nie dziw też, że dziennikarstwo polskie nie rozwijało się, praca umysłowa była niemożliwa, szkolnictwo stało na bardzo niskim poziomie. Przygnębienie ogarnęło tak dalece wszystkie warstwy narodu, że nie zdobył się w tym czasie nawet na jedno pismo humorystyczne. Dopiero w drugiej połowie XIX w. następuje pewna zmiana. Owe czasy ucisku są jednak najlepszym dowodem, że wszelka cenzura jest środkiem szerzenia ciemnoty.

Charakterystyce tych czasów czytamy w „Pszczółce krakowskiej” datą 13 lutego 1820 roku w wierszu pt. „Wolna gromada”, z którego podajemy wyjątek:

„Już odtąd nowo nadana ustawa
pozwała tworzyć i nadawać prawa.
Wójt „obieralny” i przysiężnych rada
pod władzą gminy sterem rządu włada.
Od jej wyboru zawisłe urzędy
starać się każą o publiczne względy.
Czyż to nie obraz szczęścia i pokoju,
jaki widzimy w rządnych pszczołek roju?
Posłańczy tryumwirat nowy rząd

stanowi,
laskę władzy najstarszej oddaje wójtowi.
Jak się w tej ziemi nadał ów szczerp
kruchy,
niechaj z owoców sądzi światłe duchy.”
S. K.

Bernard Shaw do nakładcy

Londyński nakładca Grant Richards ogłosił niedawno wspomnienia z 37 lat swej działalności — trzeba zaś wiedzieć, że może poszczycić się wprowadzeniem po raz pierwszy w świat całego szeregu autorów między którymi figurują G. K. Chesterton, James Joyce, Masfield, Alfred Noyes, A. E. Housman. Książka nosi tytuł „Polowanie na autorów — przez starego myśliwego”. Jej urozmaicenie stanowią przytaczane często listy sławnych ludzi. Bernard Shaw pisał niedawno do Richardsa:

Powinienby pan zatytułować swą książkę: „Tragedja nakładcy, który pozwolił sobie zakochać się w literaturze”. Nakładca, któremu to się przytrafi, tak jak handlarz obrazów, który rozmiłuje się w obrazach lub nauczycielka, która polubi dzieci, — jest skazany. Nie można obejść się bez pewnego znawstwa gustu publiczności, lecz najłżejsze odstępstwo od czysto handlowego punktu widzenia przy wyborze pomiędzy, po-

wiedzmy, „Testamentem piękności” Bridgesa a książką telefoniczną jest rzeczą fatalną.

Filmy barwne

Duże zainteresowanie wywołała w Hollywood wiadomość, że nieznany dotychczas w szerszych kołach wytwórca Walter Wanger zawarł kontrakty z Greta Garbo, Anną Harding, Magdą Carroll i K. Boyerem na cały szereg filmów.

Jak mówią, Wanger nabył od pewnego Towarzystwa prawo wyłączności na nakręcanie filmów w kolorach naturalnych i wszystkie projektowane przez siebie filmy sporządzone będą według tego nowego systemu.

Czternastoletnia gwiazda

Tym razem odkryto ją w Anglii. Jest to niejaka Eliana Benson, czternastoletnie dziewczę, które grać będzie rolę małej Nell we filmowej przeróbce powieści Dickensa „The old curiosity shop” (magazyn starożytności). Film będzie zrealizowany w Elstree, w reżyserji Tomasa Bentleya.

„Towarzystwo Szubrawców”

W pierwszej połowie XIX wieku, istniała w Polsce, w Wilnie, organizacja, nosząca nazwę „Towarzystwo szubrawców”.

Mało kto dziś wie o tem towarzystwie, jego celach i ideach, warto więc poświęcić „Szubrawcom” kilka słów.

Towarzystwo Szubrawców jakkolwiek było tworem krótkotrwałym — powstało w r. 1817 i istniało do r. 1822, a więc zaledwie sześć lat. — niemniej przeto przeszło do historii literatury polskiej i wybitnie przyczyniło się do scharakteryzowania ówczesnej epoki.

Geneza powstania T-wa Szubrawców, datuje się od sierpnia 1816 r., kiedy to pojawiła się w Wilnie gazeta, a właściwie czasopismo pod tajemniczym tytułem: „Wiadomości brukowe, czyli Rozmowa na placu przed ratuszem wielkiego X z małym x”. Twórcą i wydawcą „Wiadomości brukowych” był Ignacy Emanuel Lachnicki, wydawca „Pamiętnika Magnetycznego”. Treścią pierwszego numeru „Wiad. Brukowych” był dialog, względnie dyskusja pomiędzy dwoma osobami na temat mesmeryzmu i magnetyzmu zwierzęcego. Pismo ogólnie bardzo się podobało i zostało w lot rozchwytane tak, że musiało wydać drugi nakład.

W tydzień później ukazał się drugi numer „Wiadomości Brukowych, czyli przechadzka po zamkowej górze”.

Rzecz jasna, że pismo to musiało odbić się głośnym echem w ówczesnej publicystyce, oraz musiało wywołać reakcję ze strony przeciwników mesmeryzmu, którzy też z Kazimierzem Kontrym, redaktorem „Dziennika Wileńskiego” i adiunktem bibl. uniwersyteckiej na czele, w ciekawy sposób zareagowali, — mianowicie sami podjęli wydawnictwo „Wiadomości Brukowych”.

Początkowo pismo to ukazywało się bardzo nieregularnie, dopiero od lutego 1817 r. „Wiad. Brukowe” przybierało postać tygodnika, ukazującego się co soboty.

Prawdopodobnie, ktoś bliżej nam nieznan, wspomógł materialnie Kontrym, dzięki czemu, „Wiad. Brukowe” stały — jak się to mówi — mocno na nogach.

Ten więc okres czasu — od sierpnia 1816 r. do lutego 1817 r., należy uważać za okres tworzenia się Szubrawców. Genezę powstania Tow. Szubrawców, oraz jego historię przedstawił Michał Baliński w „Tygodniku Wileńskim” z r. 1819, we wierszu pt. „Mixtum Chaos, czyli historia szubrawstwa chronologicznie ułożona”. Z wiersza tego dowiadujemy się, że niejaki „Dzidziś” Lado (osoba nam nieznana), za „Poklusa” (Kontrym) i „innych przedrwiłków” postanowili „magnetyczne uprzedzić roztyrki” przy pomocy satyry. Gdy to im się udało, poszła druga satyra, również mająca powodzenie, więc zachęcony tem „Poklusa” pragnąc by literaci coś na tem zarobili, zwołał ich do mieszkania swego przyjaciela „Peteli” (również nie wiemy kto się pod tym pseudonimem ukrywał), gdzie przedstawiając rzecz całą, postawił projekt stworzenia „Towarzystwa Szubrawców”.

Projekt przeszedł, a pierwszym prezesem Szubrawców został działacz społeczny, dr. medycyny Jakób Szymkiewicz, przezwany „Perkunas”. Od lutego 1817 r., towarzystwo rozpoczy-

na stałą swą działalność. Pierwsze posiedzenia poświęcone są ułożeniu „Kodeksu Szubrawskiego”, którego twórcami są: Strawiński, Szymkiewicz, Kontrym i Michał Baliński. Kodeks ten wydano drukiem w 1819 r., w Wilnie. Składał się on z 16 „prawideł”, które między in. nakazywały członkom T-wa Szubrawców nie pić alkoholu, nie grać w karty, bilard i czekino. Nie chlubić się tytułami ojców, nie być pieniaczem, wystrzegać się uniżoności względem wyższych, a dumi względem niższych, nie wydawać bezkrytycznych pochwał osobistych zasług. Głosić wszędzie, że urzędy powinny iść za zasługami a nie urodzeniem. Prenumerować przynajmniej po jednej gazecie politycznej i literackiej, posiadać bibliotekę złożoną minimum z dziesięciu tomów i powiększać takową rocznie o jeden tom. Pisywać co 20 dni do „Wiadomości Brukowych”.

Po śmierci pierwszego prezesa Szubrawców — Szymkiewicza, przewodnictwo objął Kontrym, lecz brakło mu energii, potrzebnej do kierowania Towarzystwem tak, że działalność Szubrawców podupadła. Dopiero gdy prezesurę objął Jędrzej Śniadecki, w r. 1819, T-wo Szubrawców z powrotem się rozwinęło, a nawet powstały projekty rozszerzenia działalności szubrawskiej na Lwów, Kraków, Warszawę, oraz Wołyn i Podole. Projekt jednak nie doszedł do skutku, ponieważ w r. 1822 Towarzystwo Szubrawców zostało nagle rozwiązane. Niespodziewane to rozwiązanie świetnie rozwijał się T-wo Szubrawców, okryte jest mrokiem tajemnicy. Prawdopodobnie musieli Szubrawcy obrazić w swem czasopiśmie jakąś wysoko postawioną osobę, ponieważ nastąpiły aresztowania niektórych członków, a akta Tow. Szubrawców zostały opieczetowane i skonfiskowane.

Towarzystwo Szubrawców wzorowało się na ceremoniale i idei wolnomularskiej. Celem Tow. Szubrawców było ośmieszanie pod płaszczykiem satyry przywar i ułomności natury ludzkiej, a więc pienactwa, zabobonności, szulerstwa i pijaństwa, obskurantyzmu umysłowego, mistycyzmu, magnetyzmu zwierzęcego i mesmeryzmu, przesądów kastowych, próżności rodowej, ucisku chłopów, złego wychowania młodzieży itp.

Zdawać by się mogło, że „T-wo Szubrawców” mając wytknięte tak szczytne hasła i idee, oraz postępując w myśl tychże, jest organizacją rzeczywiście poważną i pożyteczną. Tymczasem rzecz miała się trochę inaczej. Często pod pokrywką szczytnych haseł, niektórzy z „szubrawców” uprawiali po prostu szantaż, oraz zasypywali paszkwilami w „Wiadomościach Brukowych” swych osobistych nieprzyjaciół. Oczywiście jednostki te szkodziły bardzo samemu Towarzystwu. Szkoda, że nie znamy dziś nazwisk tych panów bowiem „wyczyny” ich likwidowano w łonie Towarzystwa.

Zachowały się jedynie bardzo ogólnikowe wzmianki w listach prywatnych, w których nie wymieniano osób, a posługiwano się jedynie inicjałami, z których trudno coś konkretnego wywnioskować. Poza tem już sam charakter T-wa Szubrawców wzorowany na zwyczajach i ceremoniach masonskich, podkopywał powagę tej organizacji.

Członkowie „T-wa Szubrawców”

dzielili się na t. zw. „urbanów” t. j. członków czynnych, stale zamieszkających w Wilnie, których liczba wynosiła stale 40, „rustykanów” pierwszego i drugiego rzędu t. j. osób sprzyjających celom Towarzystwa i współdziałających z niem, których ilość mogła być nieograniczona, oraz członków korespondentów.

Członkowie czynni — urbani, wybierali nazwiska z mitologii litewskiej. Zarząd Towarzystwa składał się z t. zw. „dostojników”, wybieranych jednogłośnie, oraz „urzędników”, wybieranych większością głosów. W skład „dostojników” wchodził: „fundator”, „założyciel” Szubrawców, „zastępca przewodniczącego”, „ojciec”, „witający” pierwszego i drugiego rzędu i „zaletnicy” (wprowadzający nowych członków).

W skład urzędników, których było pięciu, wchodził: prezydent, mówca, strażnik, sekretarz i redaktor. Obowiązkiem strażnika było czuwać nad porządkiem na zebraniach Szubrawców. Symbolem jego godności była łopata, na której widniał napis w języku łacińskim: „tacere qui nescit, nescit loqui” (kto nie umie milczeć, nie potrafi przemawiać). Prócz łopaty, symbolem działalności szubrawskiej była karafka z wodą, z napisem „aqua fontis” (woda źródłana), oraz podręczniki historii i geografii.

Oprócz tych akcesoryj zewnętrznych, istniał specjalny ceremoniał odbywania zebrania, przyjmowania nowych członków itp.

Nazwiska szubrawców zachowały się w spisach Ottmanna i Hordyńskiego. Trudno bym wymienił wszystkie nazwiska, ograniczę się jedynie do kilku, znanych skądinąd osobistości, a więc: Szymkiewicz (Perkunas), Kontrym (Poklus), Baliński (Ausławis), Tomasz Zan (Gryromir), Chodźko Jan (Wajrgantos), Chodźko Ignacy (Wirszajtos), Śniadecki Jędrzej (Sotwaros), Śniadecki Jan, Lachnicki Ign. ((Chaurirari), Szydłowski Ign. (Quibi), Gorecki Antoni (Litwanos) i in.

Do „Wiadomości Brukowych” pisał też Adam Mickiewicz, o czem dowiadujemy się z listu Maryli Wereszczakówny do niego, niestety nie wiemy co, ponieważ artykuły zamieszczano bez podpisu, lub zaopatrzone tylko pseudonimem.

Ciekawe jest, że „Towarzystwo Szubrawców” istniejące w epoce racjonalizmu, rozwijało tendencje liberalistyczne, które jednak niewzbudziły w społeczeństwie szerszego oddźwięku.

Szubrawcy, którzy m. in. potępiali też nacjonalizm, „zbytne uwielbianie przeszłości narodowej” i budzący się wśród polskiej młodzieży ruch polityczno — narodowy, oraz romantyzm, sami prędko wyczerpali swe idee, co jasno dowodzi, że nie mogli trafić i przekonać zwłaszcza młodego pokolenia.

Zasługi, jakie „Tow. Szubrawców” położyło w walce z ciemnotą, niemoralnością i przyzwarami natury człowieka, nie były tak wielkie, by wzbudzić mogły w społeczeństwie żywszą reakcję.

W końcu trzeba zwrócić uwagę na anonimowych protektorów „Twa Szubrawców”, którzy materialnie wspomagali, tak Towarzystwo, jak i jego organ — „Wiadomości Brukowe”.

Gdybyśmy mieli możliwość poznania dziś ich nazwisk, wiele rzeczy nieja-

śnych, związanych z działalnością Tow. Szubrawców, moglibyśmy zrozumieć, oraz wyjaśnić istotny cel Twa Szubrawców, kryjący się pod błazeńską maską ceremoniału masonskiego.

Na zakończenie tej szubrawskiej historii, przytoczę kilka ciekawych wyjątków z „Wiadomości Brukowych”.

I tak np. w 199 numerze „Wiad. Brukowych” z 1820 r., znajdziemy artykuł wyszydzający ówczesny system wychowania młodzieży, p. t. „Ogłoszenie o nowej pensji dla panien” w którym to artykule autorka czy autor, kryjący się pod pseudonimem „Zefiryna”, podaje program wychowania dziewcząt, oparty na jej czy jego studiach zagranicą.

Artykuł ten jest ostrą satyrą na stosunki panujące na pensjach żeńskich i w streszczeniu wygląda następująco:

Z historii starożytnej poleca „Zefiryna” uczyć tańców greckich i rzymskich, oraz „wybór anegdot o najslawniejszych w starożytności tancerzach”. Poza tem „Mody za panowania rzymskich cesarzów Tytusa i Karakoli, Życie prywatne Aspazji i rozprawę o ubiorze, w którym się na igrzyskach olimpijskich pokazywała”. Z zakresu historii nowożytnej, poleca autorka poznanie sztuki tanecznej u Francuzów i Anglików, poznanie turniejów, balów i festynów, „które cesarzowie i królowie swoją bytnością zaszczycały”. Historię teatrów francuskich i włoskich, „Żywoty publiczne i prywatne najslawniejszych śpiewaczek i aktorek”.

Z geografii, uczyć się będą dziewczęta na pensji „Zefiryny” poznania mody i ubiorów różnych krajów, poznania państw, z których sprowadzać można najdroższe koronki, szale, wstążki i biżuterję, „słowem to wszystko, co do ubioru pięknej kobiety przysłużyć może”.

Jeżeli chodzi o języki, to „Zefiryna” zastrzega z góry, że na jej pensji nie będzie się wykladało języka polskiego, ponieważ tyle, ile się panna nauczyła od nianiek i służących w domu po polsku, aż nadto wystarczy”. Natomiast język włoski i francuski „ze szczególniejszą bacnością będzie nauczany”, ten ostatni przy pomocy śpiewania kupletów. „Ukończy kurs języka francuskiego czasowanie słowa aimer z gracją i miłością”.

Z mitologii wykladać się będzie „miłostki Tezeusza i Aryady, sąd Parrysa, przypadki Psyche itp.”. Poza tem nauczyciel będzie odbywać z uczennicami ćwiczenia mitologiczne w których „uczenniczki” wystąpią jako Wenera lub Gracje. Główny nacisk położy się na naukę tańców, muzyki i deklamacji. Moralności nie będzie się wykladać, ponieważ „teraz wszędzie pełno moralności: jest ona w śpiewach, znajduje się w romansach, nawet balety, opery i komedje mają swoją moralność”.

Tak w krótkości streściłem jeden z artykułów „Wiadomości Brukowych”, celem dania możliwości czytelnikowi wyrobienia sobie sądu o charakterze wspomnianego pisma. Brak miejsca nie pozwala mi zacytować wyjątki innych artykułów, niezmiernie ciekawych i obrazujących ówczesną epokę. Szubrawcy nie przepuścili nikomu. Nawet pięć piękna i słaba została przez nich sromotnie wyszydzona, za modę, oraz inne przyzwary natury niewieściej.

Egzemplarze „Wiadomości Brukowych”, jakie zachowały się do dzisiaj, „Kodeks Szubrawstwa”, oraz inne publikacje o Tow. Szubrawców, są materiałem niezwykle ciekawym i ze wszech miar zasługują na uwagę.

Tadeusz Kwaśniewski

Rośliny włóknodajne

Wielka wojna światowa wysunęła na czoło zagadnień ekonomicznych idee samowystarczalności. Wysiłki wynalazców idą w kierunku stworzenia takich udoskonaleń w przeróbce surowców, by w razie owiny nie być zależnym od obcych państw i móc stworzyć namiastkę importowanych dawniej towarów.

U nas w Polsce bardzo ważnym jest zagadnienie samowystarczalności w przemyśle włókienniczym. Ostatnie też lata są pod znakiem generalnej propagandy lnu, a ostatnio urządzone wystawy lniane w Wilnie miały na celu zapoznanie społeczeństwa z doniosłością uprawy lnu w Polsce na większą skalę. Korzystając z tej okazji, warto zaznajomić się z najważniejszymi roślinami włóknodajnymi krajowymi i niektórymi zagranicznymi.

Główną rośliną włóknistą w Polsce jest len. Należy on do rodziny lnianych, jest to roślina jednoroczna posiadająca łodygę obfitującą w liny. Są dane, że len był uprawiany w odległej przeszłości, Azja Zachodnia jest uważana za jego ojczyznę. Uprawa lnu jest prowadzona w trzech kierunkach: 1) wyłącznie w celu otrzymania włókien, 2) wyłącznie na ziarno, 3) wreszcie w celu otrzymania włókna i ziarna. Klimat decyduje, który kierunek jest najekonomiczniejszy. Sprzęt lnu jest zależny od kierunku uprawy. Na włókno sprzątamy len podczas kwitnienia, na ziarno podczas zupełnej dojrzałości, gdy liście schną i zaczynają opadać od łodygi. Na włókno i ziarno staramy się len sprzątać między temi dwoma stadiami dojrzałości.

Przy sprzącie wrywa się rośliny wraz z korzeniami, biorąc małe pęczki pionowo by nie przerywać włókien. Następną czynnością jest oddzielenie nasion przez przeciąganie łodyg przez grzebień. Otrzymany w ten sposób odziarniony len poddaje się moczeniu. Ten proces pomaga do rozkładu związków pektynowych, które łączą liny ze zdrewniałą częścią łodygi. Proces ten odbywa się przy pomocy mikroorganizmów.

Po wysuszeniu zostaje len poddany miedleniu. Przyczem odchodzi część pałku, strata wynosi około 25 — 35 proc. moczonego lnu. Ostatnią czynnością jest czesanie przyczem dzieli się włókna na długie i krótkie. Po tych wszystkich czynnościach zaledwie 15 proc. początkowej wagi słomy lnianej zostaje zdadna do dalszej przeróbki.

Mniejsze znaczenie mają konopie. Jest to roślina o kwiatach jednopłciowych umieszczonych na oddzielnych osobnikach. Z uprawą konopi spotykamy się w rozmaitych warunkach klimatycznych, począwszy od Indii Wschodnich a kończąc na północnych guberniach Rosji. Z powodu niejednolitego dojrzewania osobników męskich i żeńskich sprzęt konopi odbywa się w dwóch terminach. Odbywa się on albo przez wrywanie. Odbywa się on albo przez koszenie. Dalsza obróbka i otrzymanie włókna są podobne do obróbki lnu. W handlu przychodzą konopie jako przedziałne i szewskie. Zastosowanie mają do wyrobu płótna szarego i żółtego i stanowią najważniejszy materiał powroźniczy. Najdelikatniejszych konopi dostarczają Włochy, najwięcej i najsmakniejszych Rosja.

W tej samej rodzinie co i konopie (pokrzywowate - urticaceae) spotykamy drugą roślinę włóknodajną, pokrzywę. Znajduje się ona u nas w dwu ga-

tunkach: Pokrzywa pospolita i pokrzywa Żegawka mniejsza i silniej parząca od poprzedniej. Dawniej wyrabiano z jej włókien płócienną i musliny.

Rośliny krajowe nie są jednak w stanie zastąpić surowców sprowadzanych, a zwłaszcza bawełny. Państwowy Instytut Naukowy Gospodarstwa Wiejskiego postanowił więc rozpocząć hodowlę bawełny w kraju. Na jej uprawę zostały obrane powiaty południowo-wschodniej Małopolski. Z ramienia Ministerstwa Rolnictwa prowadzone są prace przygotowawcze na tych terenach obejmujące różne doświadczenia nad aklimatyzacją bawełny w Polsce, której rozmaite odmiany sprowadzono za pośrednictwem naszych konsulatorów z państw południowej Europy, Ameryki oraz południowej części Sowietów i Turcji.

Bawełna (*Gossypium herbaceum*) jest to roślina zielna, krzewiasta lub drzewiasta, wysokości 1/2 — 7 m. uprawiana na plantacjach między 25° pld. szerokości, a 41° północnej we wszystkich częściach świata najczęściej w Chinach, Indiach Wschod. i Zachod., w Egipcie i w całej Ameryce. Właściwe włókno, to delikatne włoski okrywające nasiona. Skoro owoc bawełny dojrzeje natenczas torebki pęcznią i pękają, a włókno wydobywa się na zewnątrz. Wówczas zbiera się owoce przeważnie ręcznie, rzadziej maszynowo, suszy, a następnie oddziela włosy od nasion. Bawełna jest barwy białej rzadziej szarej, żółtawej, czerwonej lub brązowej, bez połysku lub o połysku jedwabistym. Zanurzona w roztworze wodnika sodowego przyjmuje bawełna jedwabisty połysk, staje się elastyczniejszą i silniejszą. Proces ten zwie się macyzacją. Z odpadków bawełnianych otrzymuje się t. zw. sztuczną bawełnę.

Bawełna ma zastosowanie do wyrobu przędzy, nici tkanin trykotaży, koronek i firanek. Z bawełny pod działaniem kwasu azotowego otrzymujemy bawełną strzelniczą i nitrocelulozę. Płótno bawełniane aczkolwiek znacznie tańsze od lnianego jest też jednak nieporównanie słabsze, cena jej jednak sprawia, że w powszechnym znajduje się użyciu. Rok rocznie wydajemy olbrzymie sumy na materje bawełniane, gdy tymczasem z wielkim pożytkiem może nie zaraz widocznym, ale pośrednim moglibyśmy zastąpić importowaną bawełnę rodzimym lnem.

Mniej ważną ze względu na twarde i kruche włókno jest juta. Roślina ta jest

na wielką skalę uprawiana w Indiach. Techniczna przeróbka ogranicza się do moczenia odarcia tyka z łodygi i suszenia. Otrzymane w ten sposób włókno posiada 1.5—4.5 m. długości. Dolne zgrubiałe części tyka używane są do fabrykacji papieru, z górnych otrzymujemy włókno techniczne sposobem podobnym do przeróbki lnu. Włókno jest blade żółte nie da się bielić, przyjmuje jednak barwik. Jest kruche o niemiłej woni i słabsze od konopnego, znacznie jednak tańsze, gdyż zbiór z hektara przewyższa prawie dziesięciokrotnie zbiór konopi. Z juty wyrabia się tkaniny na worki, sienniki, obicia tapicerskie i podkłady do wyrobów z linoleum.

Banany rosnące na Filipinach, a zwłaszcza gatunek *Musa textilis* dostarczają t. zw. konopi manilskich. Roślina ta ma liście o długości od 2—3 m. ogonkach. Z tych właśnie ogonków liściowych otrzymuje się włókno. Jest ono barwy żółtawej lub brązowej o jedwabistym połysku. Długość otrzymanego włókna wynosi 1—2.5 m. i odznacza się małym ciężarem gatunkowym. Znanne są trzy sorty: „baudata”, średnia „lupis” i najdelikatniejsza „tupaz”. W przemyśle mają zastosowanie konopie manilskie do wyrobu sieci, lin, powroźów, kapeluszy i makat. Najlepsza sorta „tupos” służy na kanwę do adamaszków.

W Chinach na Sumatrze i w Japonii spotykamy dużą grupę roślin dostarczających włókien znanych pod ogólną nazwą „Chińskiej trawki” rodzaje *Corchorus*, *Sida* i *Boehmeria nivea*. Otrzymane włókna jest trudne i drogie z powodu kleju roślinnego jakim są spojone. Włókno odklejone jest żółtawe, daje się łatwo i ładnie wybielić połysk ma jedwabisty, jest bardzo mocne i łatwo się da farbować. Zastosowanie ma w wyrobie nici powroźów, chustek do nosa, bielejny stołowej, tkanin trykotowych, siatek żarowych i także w papiernictwie.

W Ameryce środkowej i Meksyku niesłychanie pospolitą jest Agawa amerykańska o powszechnej użyteczności. Zarówno spotykana w stanie dzikim i tworząca wtedy nieprzebyte zarośla, jak i w stanie uprawnym. Rozwój agawy jest bardzo powolny. Kwiatostan jest gronem lub kłosem na wysokiej szypułce. Niektóre gatunki kwitną dopiero po okresie rozwoju wegetatywnego trwającego niekiedy 100 lat. Dlatego u nas zupełnie fałszywie nazywa się często agawę meksykańską „stuletnim aleosem”. Tak powszechna w swej ojczyźnie Meksyku nie jest jednak rzadkością

i w Europie. Można ją spotkać nad brzegami Morza Śródziemnego. Liście agawy meksykańskiej dostarczają włókna znane w przemyśle pod nazwą: „Konopie Pita”. Służą one na wyroby plecione, liny, płótna pakunkowe i szczotki.

Inny gatunek agawy, agawa sisalana dostarcza włókien zwanych „konopie sisal”, które obecnie uprawia się w Afryce na większą skalę. Służą one do wyrobu grubszych tkanin, lin okrętowych jako surogat włosa konińskiego i na szczotki.

W krajach podzwrotnikowych spotykamy drzewo wełniane dostarczające włókien zwanych „kapok”. Włókno to otrzymuje się z puchu okrywającego owoce. Zbyt jednak jest krótkie, by dało się praść i używane bywa do wyychania materiałów i poduszek.

Trawa *Stipa tenacissima* rosnąca obficie w Hiszpanii dostarcza włókien zwanych „esparto”. Włókno jest białe i służy do wyrobów koszykarskich, dywanów, kapeluszy i trzewików.

W Indiach z rośliny *Hibiscus cannabinus* otrzymuje się włókno zwane „gambo” lub konopie bombajskie. Włókno jest białawe z odcieniem szarożółtym długie od 1—0.9 m. Z powodu małej wytrzymałości ma małe zastosowanie w przemyśle.

Rosnące na wyspach Moluskich i Sundzkich *Abroma mollis* dostarcza włókien zwanych „konopie indyjskie” używane do wyrobu grubych tkanin.

W Europie połud. a zwłaszcza w N. Zelandii spotykamy pewien gatunek zwany lnem australijskim lub nowozelandzkim. W Nowej Zelandii zarasta on ogromne przestrzenie na kształt szuwaru i stanowi tam jedną z najważniejszych roślin, ponieważ liście jej dostarczają nader mocnej srebrzystej przędzy do rozmaitego użytku, a szczególnie na liny masztowe i sznury. Starają się gorliwie o zaprowadzenie jego uprawy na większą skalę w Europie.

Nie sposób wymienić i wyliczyć mnóstwa znanych tylko w danym kraju roślin włóknistych. Na zakończenie wymienimy parę roślin, które są u nas zupełnie nieznane, jednak przerobione trafiają na nasz rynek. I tak n. p. Łyczkowiec dłoniasty, roślina spokrewniona z palmami dostarcza włókien na kapelusze panama. Z łupin orzecha kokosowego otrzymujemy dywaniki, rogóżki, maty, liny. Włókna piassave z liści palmowych dostarczają świetnego materiału na szczotki. Wreszcie z nasion niektórych roślin podzwrotnikowych otrzymuje się jedwab roślinny doskonały do fabrykacji sztucznych kwiatów.

W. M.

Przewodnik po przyjemnościach życia

Jeden z nakładców londyńskich wydał równocześnie dwie książki „Większe przyjemności życia” i „Mniejsze przyjemności życia”. Są to odpowiednio uporządkowane wyjątki z utworów literackich, listów i pamiętników. Pierwszą z książek zredagował Martin Armstrong, za drugą odpowiada znana powieściopisarka Rose Macaulay, której znane poczucie humoru objawiło się zarówno w układzie, jak w tytułach działów i w doborze tekstu.

Armstrong przytacza na początku szereg określeń przyjemności wogóle, poczem omawia książki i pisarzy, sztukę i artystów, miłość, muzykę i muzyków, architekturę, kontemplację, jedzenie i napoje, przyrodę, wreszcie prosty sposób życia. Niewszystkie jego cytaty są dobrze dobrane. Tak np. znany pisarz

drugiej połowy XIX w. Samuel Butler, pisząc o koncertach, radził, aby każdy skontrolował samego siebie, czy przeglądając program, patrzy na umieszczoną na jego końcu reklamę mydła Pearsa. Złośliwy ten dowcip znajdujemy w rubryce „muzyka”. Pod rubryką „jedzenie” znajdujemy także opisy kilku nieudanych bankietów — zapewne dlatego, aby smakosze mogli z tem większą rozkoszą oddawać się spożywaniu specjalów, myśląc o tem, jak inni krzywili się i narzekali. Wreszcie uderza brak wszelkiego rodzaju sportów, które przecież stanowią prawdziwą ozdobę życia.

Może być, że zadanie Miss Macaulay było łatwiejsze. W każdym razie jej książka góruje wyraźnie nad tamtą. Już w samych tytułach przebija się satyryczny temperament autorki „Wyspy sierocej”. Przytoczmy parę: „Słuchanie

pochlebstw”, „Nawrócenie”, „Rozmowa”, „Szczęśliwa śmierć”, „Robienie hałasu”, „Gorące kąpiele”, „Łasowanie”. Pod tytułem „Bezwestywny słodmy dzień XIX w.” znajdujemy ustęp na temat naśladowania półświatka w strojach przez damy z towarzystwa. Niepotrzebnie dostał się tu „Patriotyzm” ze zdaniem Ateńczyka: „Śmiejemy się z człowieka, twierdzącego, że książęcy w Atenach jest lepszy od książęcy w Koryncie”. Jeden z tytułów Miss Macaulay możnaby przetłumaczyć „Z igły widły”.

W połowie XIX w. w Westminsterze mieściły się liczne biura sądowe, stąd pełno tam było procesowiczów i adwokatów. Tomasz Chaloner „lubii” — czytamy — „pójść w okresie sesyj sądowych rano do Westminsteru i opowiedzieć tam jakąś zmyśloną, a niezwykłą historję, potem zaś wrócić koło godziny 11 lub 12

aby sprawdzić, jak daleko się rozeszła. Nieraz zaś była zmieniona i pełna dodatków, tak, że ledwie mógł ją rozpoznać jako swoją własną.

Naturalnie często spotykamy się z ironią. W 2. połowie XVIII w. panował fałszywy romantyzm, który objawiał się w zamiłowaniu do fałszywego gotyku i do grot. Pełne ich było sławne londyńskie miejsce rozrywkowe Vauxhall. Wybrał się tam raz wielki zwolennik fałszywego gotyku Horacy Walpole, cierpiący wiecznie na artretyzm, i razem z gronem przyjaciół, przeważnie niemłodych chodził po grotach. Było to wedle słów jego listu „tak zgodne ze stanem pogody, jak byłby dobry ogień podczas największych upałów w Tivoli”.

Ale zostaniemy już przy jednym, najbardziej może zaciekawiającym tytule — przy „Manji niszczycielskiej”. Opowiada tu wdowa po Sir Ryszardzie Burtonie, jak zgodnie z nakazem ducha mę-

ża, który się jej ukazał, spaliła pozostały po nim rękopis. To znów jesteśmy w wesołym towarzystwie studenckim. Jeden z uczestników koleżeńkiej ucztę upił się do nieprzytomności. Uwagę innych zwróciły jego nowe, jedwabne pończochy, więc powycinali w nich nożyczkami piękne desenie.

Lecz był w Anglii okres, w którym coś niszczone masowo. Działo się to po wybuchu wojny domowej. Purytanie zawzięli się na dzieła sztuki kościelnej jako na zabytki katolicyzmu. Oto ustęp z pamiętnika:

„Havershill, 6 stycznia 1643. Zniszczyliśmy około setki obrazów służących zabobonowi — siedmiu mnichów i mniszkę, Boga Ojca i Syna oraz dużo innych, bardzo bałwochwalczych.

„Clare, 6 stycznia. Zniszczyliśmy 1000 obrazów, służących zabobonowi. Ja zniszczyłem 200. 3 Boga Ojca, 3 Chrystusa z barankiem i 3 Ducha św. ja-

ko skrzydłatego gołębia. Na dachu było wyrzeźbionych z drzewa 12 apostołów, kazaliśmy ich zdjąć; słońce i księżyc, umieszczone koło herbów królewskich przy oknie wschodnim kazaliśmy zdjąć.

„Sudbury, 6 stycznia. Stłukliśmy 10 ogromnych aniołów ze szkła. Razem sztuk 80.

„Dunstable, 23 stycznia Zniszczyliśmy 60 obrazów, służących zabobonowi, połamaliśmy na kawałki balaski i kazaliśmy zerwać schody.

„Otle, 27 lutego. Zastępca komisarza zniszczył 50 obrazów, służących zabobonowi, krzyż na kazalnicy, 2 tabliczki brązowe z napisami, Mojżesza z różdżką, Aarona w mitrze zdjęto; 20 cherubinów ma się połamać”.

Widać, z jaką rozkoszą dokonywano spustoszeń i jak apetyt przychodził podczas jedzenia — naprzód tylko obrazy i posagi, potem nawet balaski i schody.

W. T.

„Pierwsza” nowela St. Żeromskiego

W archiwum rodziny Pawlikowskich w Medyce znajduje się list Stefana Żeromskiego, pisany w roku 1906 do Heleny Pawlikowskiej (żony Mieczysława), w którym autor „Popiołów” dziękuje za książki, ofiarowane dla Biblioteki zakopiańskiej, tłumacząc się równocześnie z niemożności zajęcia się jedną z rękoopiennych prac Mieczysława Pawlikowskiego. List ten, mający charakter napozór ściśle prywatny, może nawet dla badaczy Żeromskiego nie przedstawiałby większego znaczenia, gdyby nie ciekawe wyznanie, w paru zaledwie słowach zawarte, a jednak tak bardzo istotne, że trudno nie zwrócić na nie uwagi. Ze względu na wartość dokumentu przytaczam wspomniany list w całości:

Czcigodna Pani!

Jestem niewymownie wdzięczny za wspaniały dar do Biblioteki Zakopiańskiej. Jako jeden z organizatorów tej księżnicy mam sobie za obowiązek złożyć Czcigodnej Pani najgłębsze podziękowanie i wyrazić hołd pamięci Tego, który jest, aczkolwiek Nieobecny, współofiarodawcą. (Pierwszą moją nowellę On drukował w Nowej Reformie, to też, prócz innych powodów wdzięczności, mam dlań i ten osobisty.)

Dzięki tak wielkiemu przyczynkowi biblioteka w Zakopanem będzie mogła wydzwignąć się i stać pożyteczną instytucją.

Co się tyczy pracy ś. p. Meża Czcigodnej Pani, pracy, o której wzmiankę w liście znajduje, to z prawdziwym moim żalem, jestem pozbawiony możliwości zaopiekowania się tem dziełem w Zakopanem. Od roku z górą mieszkam w Królestwie — (Zakład leczniczy w Nałęczowie — gubernia Lubelska, Willa „Oktawia”). Po otrzymaniu listu prosiłem niezwłocznie pana Dyonizego Beka, bibliotekarza Biblioteki Zakopiańskiej, ażeby rękopis zwrócił Czcigodnej Pani, stosownie do Jej życzenia. Nie wiem, jakiego rodzaju jest ta praca. Gdybym ja wyjątkowo nadawał się do tego, żeby się nią zająć, raczy Czcigodna Pani przesłać mi ją pod wyżej wymienionym adresem, a ja dołożę wszelkich starań, ażeby należycie wywiązać się z zadania.

Raz jeszcze z głębi serca dziękując za ofiarę dla miłej instytucji, łączę wyrazy najgłębszego uszanowania, z jakimi pozostaje

sługa powolny

S. Żeromski

Nałęczów

d. 25. VI 1906.

To cenne wynurzenie Żeromskiego, dotyczące pierwszej jego noweli, drukowanej w „Nowej Reformie” jest na pierwszy rzut oka zastanawiające o tyle, że znamy nam początkowymi pracami prozaicznymi twórcy „Dumy o hetmanie”, są trzy „nowelki”, z których dwie znalazły przytułek w „Tygodniku Powszechnym” Wiktora Gomulickiego („Ach gdyby kiedyś dożył tej pociechy” nr. 2 z r. 1889 i „Elegja” nr. 5 z r. 1889) trzecia zaś w „Głosie” („Z dziennika I. Psie prawo”, nr. 49 z r. 1889).

Z wyznania Żeromskiego wypływa

prosty wniosek, że pierwszej naprawdę noweli poszukać należy w rocznikach „Nowej Reformy”. Przy wertowaniu późniejszych kart tego dziennika „wojującej” demokracji krakowskiej, natknąć się możemy dopiero w roku 1890 na krótki utwór, zatytułowany: „Niedobitek”. Wspomnienie. Nakreślił Stefan Omżerski.

(Nowa Reforma 1890 nr. 160, 161 i 162 z dni 15—17 lipca). Nowela ta, ciągnąca się zaledwie przez trzy odcinki, włączona później do wydań książkowych, jest najprawdopodobniej pierwszą, drukowaną w „Nowej Reformie”. Z sensu jednak zdania Żeromskiego, zawartego w liście do Heleny Pawlikowskiej, wynika jasno, że Mieczysław Pawlikowski drukował jego pierwszą w ogóle nowellę. Kiedy poszukiwania w „Nowej Reformie” z przed roku 1889 do tej pory nie dały rezultatu, dościsł musimy do przekonania, że Żeromski pierwsze swoje prace uważał za „obrazki”, „szkice” czy „akwarele”, zaś utwór

„Niedobitek” — za pierwszą właściwą nowellę. Pominiecie szkiców z „Tygodnika” w wydaniach książkowych, dokonanych za życia autora, świadczy o tem, że nie przywiązywał do nich większej wagi. Jeżeli Żeromski tak cenił sobie ową pierwszą nowellę, to prawdopodobnie także dlatego, że przyniosła mu ona i pierwsze honorarium autorskie, wnosząc ze szlachetnego zwyczaju Mieczysława Pawlikowskiego, jako redaktora feljetonu „Nowej Reformy”, który dla zachęty zwykł był pisarzom, wstępującym na nędznie wynagradzaną drogę literatury, skrupulatnie wypłacać wierszowe.

A teraz słów kilka o „pseudonimie”

*) Jeśli zaś chodzi o utwór „Z dziennika”, to wprawdzie znalazł się on w pierwszym wydaniu Opowiadań (Warszawa 1895), z wydań jednak późniejszych został usunięty, (zob. Elegje), Warszawa 1928. (Przypisy str. 382).

Żeromskiego, którym „Niedobitek” został podpisany. O ile mi wiadomo, to kryptonimu Stefan Omżerski użył Żeromski raz jeden w czasie swej długoletniej działalności pisarskiej. Wskazywałoby to znowu na fakt, że nie stanowił on dostatecznego ukrycia dla autora „Ludzi bezdomnych”, jako zbyt łatwy do odcyfrowania.

Tu nasuwa się ciekawe przypuszczenie, które może wyjaśnić taki pseudonim. Przystawienie sylab nazwiska Żeromskiego nastąpiło przypuszczalnie na jego życzenie, by „Niedobitek” podpisać jakimś imieniem, którego wybór pozostawił Pawlikowskiemu jako redaktorowi „Nowej Reformy”. Szczegółowe studia nad twórczością Mieczysława Pawlikowskiego naprowadzają na ślad, który w sprawie doboru pseudonimu Żeromskiego może okazać się trafny. Otóż mniej więcej od roku 1890 fantazje autora „Plotek i Prawd” zaprzętał pomysł, zużytkowany nieco później, bo w roku 1892, w noweli „Odzyskana” (pisanej wspólnie z Sewerem), gdzie poważne powikłania wynikają właśnie z zabawy „zeczerskiej”, której istotę stanowiło złożenie nazwiska z rozsypanych liter, przyczem litery tak są dobrane, że można z nich ułożyć więcej nazwisk. (Np. Kalikst Wojna — Jan Klatowski). Pomysł ten dość długo „prześladował” Pawlikowskiego o czym świadczą listy do Sewera z lat dziewięćdziesiątych, gdzie tego rodzaju anagramów odnajdujemy sporo. Sądze więc, że przy doborze pseudonimu Stefana Żeromskiego, polegającego właśnie na podobnym przedstawieniu liter, zaważył pomysł Mieczysława Pawlikowskiego, czem również wytłumaczyć możemy jednokrotne pojawienie się kryptonimu Żeromskiego — Stefan Omżerski.

Oto kilka uwag, które nasunęły się podczas czytania listu Żeromskiego. Wyświetlają one ciekawy stosunek autora do własnej, początkowej twórczości. Wyznanie jego to ważny przyczynek dla badaczy, bo określa pewne uczuciowe nastawienie z jakim twórca „Wiernej rzeki” odnosił się do swoich literackich poczyną.

Stanisław Sierotwiński

Kraków, w listopadzie 1934 r.

Z Antyplutarcha

Liczne antyżydowskie wystąpienia ostatnich czasów spowodowały reakcję, która często przybiera formę chwaleńską, co Żydzi zdziałali dla ludzkości, jakich wydali znakomitych polityków, filozofów, wynalazców, artystów. Tej plutarchowskiej iście działalności warto przeciwstawić — antyplutarcha (Nowaczyński powiedziałby antypluparcha).

Wyszła niedawno książka Borysa Nikolajewskiego. „Azew, rosyjski Judasz”. Przytoczmy za nią zarys życia i czynów tej dziś naogół zapomnianej znakomitości.

Jerno (pod takim imieniem występował w świecie) Azew urodził się jako syn żydowskiego krawca. Ojciec człowiek pracowity i zapobiegliwy, zdołał dać mu jakieś wykształcenie. Młody człowiek nie miał ochoty wziąć się do żadnej pracy. Trochę zajmował się propagandą rewolucyjną. Ale czuł się powołanym do większych rzeczy i pragnął poznać szeroki świat. W r. 1892, licząc lat 23, ukradł 800 rubli i uciekł zagranicę.

Osiadł w Darmsztadzie, gdzie istniała kolonia rewolucjonistów rosyjskich, z którą wszedł w stosunki. Ale środki wyczerpały się i wtedy Azew zwrócił się do petersburskiej policji, oświadczając gotowość składania stałych raportów o emigrantach. Ofertę przyjęto i wyznaczono szpiegowi skromną miesięczną płacę 50 rubli. Przyszła znakomitość zaczęła od małego, nie zrażając się i konsekwentnie dążąc do polepszenia bytu.

Trzeba było pozyskać zaufanie rewolucjonistów, głosząc hasła skrajne i nawet biorąc udział w podziemnej robocie.

Azew nie wahał się i pokazał, że nie lubi nic robić połowicznie. W pierwszych latach XX w. doszedł do stanowiska wodza terrorystów socjalno - demokratycznych. Wkrótce przekonał się, że ta działalność przynosi takie same dochody i emocje, jak tajna służba policyjna, i że jedno z drugim da się doskonale pogodzić, owszem, że jedno ułatwia drugie. Organizował tedy zamachy, przeważnie osiągając zamierzony skutek, a równocześnie co pewien czas wydawał władzom pewną ilość kolegów. On to stał na czele morderców Plekwego i W. ks. Sergjusza. Naturalnie rewolucjoniści mieli do niego nieograniczone zaufanie. Lecz znalazł się człowiek, który powziął podejrzenia. Był to Burcew.

Z niesłychaną wytrwałością, zapobiegliwością i sprytem zaczął on gromadzić dowody. Szpieg miał teraz na swych piętach drugiego szpiega, działającego w imię idei. Poczuł coś jednak, a że miał już olbrzymi majątek, postanowił usunąć się w zacisze życia prywatnego, a raczej zniknąć tak, aby go trudno było znaleźć.

W towarzystwie artystki kabaretowej, którą Nikolajewski z kurtuazji nazywa panią N. (choć podaje jej pseudonim sceniczny i dołącza dwie fotografie) Azew znowu ruszył w świat. Nie zatrzymywał się nigdzie na dłużej i ustawicznie zmieniał nazwisko. Mina Burcewa wybuchła już była i groziła zemstą.

Azew traktował swoją przeszłość cynicznie. Twierdził, że należał do dwóch światów — do policji i do organizacji rewolucyjnej. Musiał tu i tam spełniać obowiązki, ale działalność rewolucyjna była bliższa jego sercu. Miał

też do Burcewa pretensje, że ten przeszkodził mu w dokonaniu wielkich rzeczy. „Gdybyś mnie nie był zdemaskował, byłbym zgładził samego cara!” powiedział mu z wyrzutem, gdy spotkali się później w okolicznościach, w których Burcew nie mógł nic przedsięwziąć przeciw zdrajcy.

Lecz zasługę zamordowania Mikołaja II zarezerwowało przeznaczenie dla kogo innego. Pogodziwszy się z losem, Azew osiadł w Berlinie, jako makler giełdowy. Powodziło mu się dobrze aż do wybuchu wojny. Wówczas Niemcy internowały go. Stary szpieg sądził, że w nim wietrzą agenta Rosji, ale po jakimś czasie przekonał się, że postanowił go unieszkodliwić jako niebezpiecznego terrorystę. Rozchorował się ze zgrozy, od tego czasu stracił humor i pewność siebie. Zresztą wstrząśnienia finansowe wielkiej wojny odbiły się i na majątku...

Azew wyszedł na wolność jako złamany człowiek i umarł wkrótce potem, z wiosną 1918 r.

Nikolajewski dobrze spełnił swe zadanie, gdyż zbadał wszelkie dokumenty i zasięgnął informacji od wszystkich ludzi, jacy kiedykolwiek spotykali się z Azewem, — czy to jako rewolucjoniści, czy jako funkcjonariusze policji rosyjskiej. Rezultatem jest szczegółowy, dokładny i autentyczny życiorys, mogący posłużyć za wzór dalszym Antyplutarchom. A mają oni obszerne pole do działania. Vivat sequens, mianowicie ten sequens, który podobną usługę odda pamięci słynnego Redla, podpułkownika austriackiego sztabu generalnego i rosyjskiego szpiega.

A. E.